

ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 3

CHOJNICE, dnia 22-go kwietnia 1926 r.

Nr. 16

Litość chłopezyka.

Posłuchajcie w dziecięckich,
Mojej krótkiej tu bajeczki.
O chłopezyku, o pastuszkach,
Który litość miał w serduszkach.

Pał on owieczki na łące,
Gdzie kwiatków są tysiące.
Był swobodny i wesły,
Tu się uczył też do szkoły.

A gdy skończył swe zadania
Zabrał skrzypeczki do grania.
Grał i śpiewał tak żalśnie,
Ozasek wdzięcznie i radośnie,

Ze aż anieli w niebiosach
Cieszyli się w głosach.
Raz, gdy skończył swe śpiewanie,
Słyszysz głośnie psów szczekanie!

Spojrzał w stronę, tam gdzie droga,
Aż tu babka szła uboga!
Kijem krzywa się opiera,
Chustką z twarzy pot ociera.

Lecz już dalej iść nie mogła,
Bo tak bardzo była głodna,
Ze ją siły opuściły
I na ziemię obaliły.

Gdy to chłopezyk ujrzał matę,
Zaraz pobiegł, choć nieśmiały
I zapytał się babuni,
Czy nie głodna, czy chleb u niej?

Babka z łzami powiada,
Ze nie chleba nie posiada.
Wzyc chłopezyka, wiecie dziatki?
Przyniósł swój chleb dla tej babki!

Babka za chleb mu dziękuje.
Chłopezyk w sercu radość czuje.
Bo mu Pan Bóg to nagrodził,
Ze bliźniemu dał się służyć.

Co Franka zdziwiło.

— Wiosna idzie! — mówili ludzie najwsi i cieszyli się, że niedługo zaczną pracę w polu. Nie rozumiał tego mały Franek, co dopiero ukończył ósm lat. Matka jego była wyrobnicą.

Chodziła na zarobek do gospodarzy, albo zimą przędła len. Dawali jej parę groszy dziennie, albo kartofli kobziak. Zadawała się tem i siedziała komornicą w Tomkowej chałupie.

Miał jej umarł w trzy lata po weselisku. Została więc sama z Frankiem na bożym świecie. Póki była

młodsza chodziła do fabryki, albo do dworu za zarobkiem. Dziś jest już starszą, musi się zająć chłopakiem, więc trudno jej.

Jako jednego wieczoru przyszedł do chałupy stary Marcin, gospodarz zamożny i gwałtem upierał się, aby mu dała do służby Franka.

— Nie bójcie się, Piotrowa! Zle chłopakowi nie będzie. Głsi mi jeno pasad będzle albo owce po ugorach. Odzieżę go za to galancie, że go nijak nie poznacie.

— Ech, co on tam wie o pasaniu. Chłopak słaby i młocerny, to rzecze się przeziębici, — tłumaczyła Piotrowa.

Nic nie pomogło.

Marcin uparł się, bo swoich dzieci nie miał, oblecał kobiecinnie dodać jeszcze worek kartofli i chłopaka zabrał.

Zle mu tam nie było!

Zimą zbijał łąki koło domu, albo szedł do szkoły. Na wiosnę wyganiał owce na świętą trawę koło rzeki.

Brał wtedy książkę i uczył się.

Gdy ułasyzał, że wiosna się zbliża, ucieszył się po swojemu.

Ludzie radowali się z pracy, on zaś ze słońca i ciepła. Jakoż jednego dnia Marcin wszedł do chałupy. Franek siedział przy piecu i podkładał drewno na ogień.

Już wiosna! — mówił Marcin. — Trzeba Frankowi kupić trepy i pójdzcie z owcami koło rzeki.

Uplęnyły trzy dni. Gospodarz przywlecił mu z jarmarku kaftan, porcięta derelichowe i obijaki. Ubrał się czysto, jak na wielkie święto, i pognął owce nad rzekę.

Pały się spokojnie, a on usiadł na darninie koło mostu. Roso o w niej zielska ocieniara. Trawy, trzcin i sitowie. A wszystkie jakieś święte, jasne, jakby się śmieszło do niego. Wiatr lekki ciągnął z południa i poruszał wystającymi nad wodą lodygami.

Otworzył książkę, aby się uczył, ale ją zaraz zamknął, bo mu się zdawało, że coś szepce do ucha:

Schówaj książkę i patrz na wodę. Tam się czegoś nauczysz.

Obejrzał się dokoła przestraszony, czy kto za nim nie stoi.

Spojrzał na wodę...

Podłużny robaczek o twardej pokrywie złoczonej po brzegach, wypłynął na powierzchnię, zacerpnął powietrza i znów zanurzył się w wodzie. Franek patrzył i patrzył... „Dlaczego on wypływa? — myślał. „Poco wystawia na powierzchnię wody końce cwiłozka? Nie mógł sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. Woda coraz więcej go zaciekawiała. Patrzył teraz na dno, gdzie wszedł robak. I ze zdziwieniem spostrzegł, że trzyma się łapkami jakiegoś patyczka, oblepionego szczałnie ziarnkami piachu, a brzuchem starczy ku górze, wiosując zawzięcie dwoma parami pozostałych nóg. Widocznie dźwiga jakiś ciężar, bo całą siłą sta-

ra się unieść patyczek ze sobą na brzeg. Dwie białe bańki uniosły się z dna ku górze. Już zdaje się, że puszcza łapkami i za chwilę wypłynie znów na wierzch.

— Muszę mu się dobrze przyjrzeć! — szepocze do siebie Franek i pochylił się głębiej, aby lepiej widzieć. W tej chwili podplywa drugi większy robak i równieś chwytając łapkami patyczek. Wiosłują silnie i razem wynoszą go na wierzch. Płyną teraz do piasku.

Ten większy robak trzyma go jeszcze. Mniejszy wychodzi na piaszczysty brzeg i ciągnie całą siłą do siebie. Większy płynie do brzoju. Już przeszło połowa patyczka leży na piasku. Wtedy większy robak wychodzi z wody i silnie pomaga odciągnąć drugiemu. Wyciągnęli wreszcie. Patyczek, okrągły leży baki „Od siebie spokojnie, a obok niego usadowiły się dwa ropoczywają” — myśli Franek i patrzy.

Sam sobie nie wierzy...

To nie patyk bo się rusza powoli i idzie w stronę wody.

— „Co to może być? Przecież robaki nie odciągną!” Zaledwie to pomyślał, że środka patyczka wynurzyła się mała kulka z długim, jak żądło palcem. Doskoczyły eba robaki, złapała silnie kleszczami za kulkę i ciągną. Z wnętrza wypęka długa jasno żółta liźka. Patyczek pozostał próżny. Robaki zadusiły ją i zabrały się do spożywania.

Nie przeszkadzał im Franek.

Spojrzał w wodę, czy nie zobaczy jeszcze coś więcej.

Patrzy i patrzy... Ani oczu oderwać nie chce...

I coś widzi?

Całe dno pokryte było patyczkami...

— „Wznieść parę tych patyczków i zaniosę pani do szkoły, to się dowiem coś więcej... Albo — nie! — zdecydował — przyprowadzę tu jutro kolegów, to sami zobaczą!”

Robaki skończyły ucztę i weszły do wody. Sienko grzało coraz silniej. Zbliżyło się południe...

Franek w tym czasie powinien iść do szkoły.

Obejrzał się wkoło za owcami, ale owiec nie było. Biegał po polu i nawoływał — daremnie!

Szedł do chłapczy Marcina z placem i wrzaskiem.

— Czego becujesz? — spytała go Marysia, córka Marcina.

— Bo... be... ja niewiem, kaj są ow... ow... ce — szlochał — Franek.

— W zagrodzie! Ino pamiętaj na drugi raz pilnować!

Wiosenka.

Wiosenka już

Błysnęła jaanem słonkiem,

Zielenią zbóż

I coraz dłuższym dzionkiem

Nas wita —

Snieżysty puch

Ozarnieje — znika — ginie.

Na polach ruch,

Pierwiosenka kwiat w dolinie

Rozkwita.

I coraz mniej

Strop nieba chmur powleka —

I coraz lżej

Zmęczona pierś człowieka

Oddycha.

To wiosny czar!

To srebrna pieśń skworonka! —

Samer, szelust, gwor

Dopiero z zająciem słonka

Ucicha.

Już kraje pług
Tę ziemię dobrą, czarną —
I, gdy da Bóg
Wzrosnie posłane ziarno
Wiosenką —

Perłami ros
Rozwidni się światłanie,
A my w sto kos
Na dużym staniem lanie
Z piosenką.

I hukniem wrz :
Rozbudźcie się żniwiarze !
Do pracy oższ,
Leniuchów Bóg ukarze —
Slyżecie!

Kto żyw !
Niech się za próg wychyla —
To pora żniw,
To kos i sierpów chwila
To życie !

Wesoły kącik.

Konfident.

Dyrektor wzięcia, do przeprowadzonego wzięcia: Ty drabie, to ty już ósmy raz powracasz do areztu?

— Tak jest, panie dyrektorze. Góra z górą się nie zejdzie, ale ja z panem dyrektorem zawsze.

Przedewszystkiem praktyczna.

Służąca: — O jej panie, skradł dywan, a dżiś go właście tak dobrze wytrzępalam!

Po seansie.

Zona wraca z seansu spirytystycznego i opowiada: Nastrój... powiewy... pukanie... emanacje... ciach astralne... materializacje... aporty...

Mąż pobożnie kiwa głową.

Zona opowiada z rosnącym ferworem:

— Wreszcie stanęła między nami zjawia, mówię ci, niesamowity deszcz zgrozy przeleciał nas, że ze strachu ust nie mogłam otworzyć.

— Co? ty nie mogłaś ust otworzyć? E, to mała być blaga z tym seansem!

Z pamiętnika mętniki.

Gdy go mi przedstawiono, powiedział do mnie: „Panno Wirska”. W miesiąc potem mówił: Panno Janko” a pół godziny potem: Lu dnułka z ciebie dziewczyna”. Chodziłszy często do teatru a góymy wracali mówiał: „Moje ty małżeństwo”. Po zaręczynach nazwał mnie „słodką” a podczas podróży poślubnej „moje wszystko na świecie”. Sześć miesięcy potem: „Moja kochana”.

Pięć lat potem: „Słuchaj stara, nie czekaj na mnie z kolacją, mam ważne posiedzenie.”

Trudne zgadnienie.

Lekarz: — Czy pan mnie rozumiał! Po każdym jedzeniu zażyje pan pełną łyżeczkę zapisanego lekarstwa.

Bezrobotny: — Dobrze panie doktorze, ale skąd ja wezmę jedzenie.

Niezrozumiały zakaz.

Gospodarz (do beznożnego kaleki): — Znów tu jesteś? A mówiłem ci, żeby tu noga twoja nie pozostała.